



(Niemowlęce choroby Niemców. — Narodowe ich nieszczęście. — Odezwa Wildenbrucha. — Dusza Zeppelina a ludność. — Prasa polska rozpacza razem z niemiecką. — C. k. biuro korespondencyjne. — Kawiarnie a dzienniki. — Nieco o pogodzie).

Po nieszczęsnym pogromie Francyi, to jest po roku 1870, Niemcy od czasu do czasu zapadają na jakąś chorobę niemowlęcą, na coś w rodzaju „zabkowania“. Weszli pomiędzy „panów“ politycznych i zachowują się dotąd jak dorobkiewiczze. Zaraz po wojnie postanowili otrząsnąć się z wszelkich naleciałości francuskich i rozpoczęli tę reformę wiekopomną, od... *menu*, czyli spisu potraw. Przetłumaczyli tedy uczeni profesorowie na język niemiecki wszystkie francuskie nazwy potraw i w ten sposób powstał patryotyczny pruski *Speisetzettel*. Powiedziano sobie *ab Jove principium* i zreformowany spis potraw przedłożono Wilhelmowi, dziadkowi obecnego cesarza. Stary Wilhelm odczytał najnowszy dokument wyzwolonej kuchni pruskiej i odpowiedział z całą dobroduszością: „Bardzo dobrze, ale za każdym razem dodajcie tłumaczenie francuskie, ażebym wiedział, co będę jeść“.

Po „zabkowaniu“ kulinarnem przyszła kolej na „zabkowanie morskie“. Niemcy zaczęli się rozbić na morzu i pragnęli dorównać Anglikom. Gdy okręty ich przejeżdżały przez równik, marynarze niemieccy z całym zapalem nowicyuszów urządzali uroczystość na uczczenie Neptuna, polegającą na przebieraniu się i zlewaniu wodą. Marynarze angielscy, francuscy, włoscy, z dawien dawna obcy z morzem, zarzucili ten zwyczaj, ale Niemcy uprawiali go przez długi czas, chcąc w ten właśnie sposób udowodnić, że są wilkami morskimi.

Pisał o tem Sienkiewicz w swoich „Listach z Afryki“, a przy tej sposobności przypomniała mu się owa stara panna, która po ślubie i uczcie weselnej udała się do matki ze zwyczajową prośbą, ażeby córkę wtajemniczyła w arkana małżeńskiego życia.

Obecnie chorują Prusacy na „zabkowanie“ aeronautyczne. Na całej kuli ziemskiej rozbrzmiewa hasło o podboju powietrza, a Francuzi rej wodzą na tem polu. Oczywiście Prusacy powiedzieli sobie, że muszą co najmniej sprostować Francuzom i zabrali się z całą furją do budowania balonów. Pomiedzy pruskimi aeronautami wybił się na pierwszy plan były generał, hr. Zeppelin, który jak wiadomo, obecnie miał przedsięwziąć wobec komisji rządowych rzeczoznawców dwudziestoczegogodzinną podróż swoim balonem. Przed tą stanowczą podróżą hr. Zeppelin puścił się w podróż próbną z Friedrichshafen nad jeziorem Bodeńskim do Mannheimu, a stamtąd napowrót do Friedrichshafen. Otóż podczas powrotu musiał hr. Zeppelin wylądować pod Echterdingen, gdzie go zaskoczyła gwałtowna burza. Łódź balonu, rzucona siłą wichru o motor, spowodowała wybuch i zapalenie się gazu, skutkiem czego balon spłonął doszczętnie.

Wypadek nie pierwszy i nie ostatni w dziejach aeronautyki. Gdy angielski balon *Nulli secundus* został zniszczony, nie przypominam już sobie w jaki sposób, Anglicy powiedzieli zwyczajne *Goddam!* i zabrali się do budowy nowego balonu. Mniej zimnej krwi okazali Francuzi w ubiegłym roku, kiedy burza zerwała z uwięzi ich wspaniały balon *Patrie* i uniosła go na wieki w przestwory powietrzne.

Co prawda Francuzi byli słusznie zaniepokojeni, że jeżeli balon spadnie cało na ląd, budowa jego przestanie być tajemnicą. Poza tem zabrali się spokojnie do budowy balonu pod nazwą *Republique*, który obecnie pełni służbę. Wprawdzie niektóre dzienniki paryskie pisały, że to żałoba narodowa, ale były to dzienniki bulwarowe, po naszymu brukowe, które musiały wymyśleć efektowne hasło dla „kamlotów“, sprzedających gazety po ulicach Paryża.

Gdy spłonął balon hr. Zeppelina, ogarnęła Niemców rozpacz tak silna, że aż wyglądająca na sztuczną. Rozpacz z jakiego powodu? Czy z powodu straty materialnej, stosunkowo niewielkiej? Czy z powodu straty czasu, potrzebnego do wybu-

dowania nowego balonu wedle zachowanych rysunków? Pieniądze na nowy balon już się znalazły, a kilka miesięcy czasu, poświęconego celem wybudowania nowego balonu, to poprostu drobnotka. Ale Niemcy rozpaczali na potęgę, usiłując wmówić w cały świat, że powinien także ręce łamać...

Ernest Wildenbruch, pruski bard, chodzący zawsze na szczudłach patryotyzmu, ogłosił odezwę do narodu, w której powiada o Zeppelinie: „Gdy taka dusza cierpi, cała ludzkość cierpi“. Panie Wildenbruch — ludzkość ubolewa nad Zeppelinem, jeżeli jednakże cierpi, to musi mieć do tego inne, niekończące donioślejsze powody. Trzeba nie mieć żadnego poczucia miary, ażeby w podobny sposób apelować do ludzkości. A wogóle Prusacy nie powinni odwoływać się do ludzkości, oni, którzy ją swoją całą polityką codziennie policzkują.

Co najpociesniejsze, to fakt, że prasa galicyjska z powodu narodowego nieszczęścia Niemców rozpaczala i łamała ręce razem z nimi. Dzięki patryotycznej usłudze c. k. wiedeńskiego biura korespondencyjnego prasę naszą zalewały telegramy o katastrofie pod Echterdingen, prócz tego zaś dzienniki *expropria diligentia* rozpisywały się na metry o niemieckiej żałobie narodowej. Dzięki temu taki Lehmann w pruskiej mieście, albo Müller w knajpie monachijskiej czytał o Zeppelinie takie same biadania z niemieckich „blattów“, jak proboszcz nasz pod Babią górą, albo obywatel na Podolu, albo wreszcie gość kawiarni Bisauza. To jest naturalnie ideałem braterstwa narodów.

Niekoniecznie. Berent w jednej z powieści swoich, zdaje mi się w „Próchnie“, nazwał to zupełnie trafnie „moralną *Sachsengängerei*“. Wspomniane c. k. biuro korespondencyjne w Wiedniu przez dwie filie swoje we Lwowie i w Krakowie częstuje dzienniki polskie przeważnie wiadomościami, pochodzącymi z Berlina. Dzięki tej okoliczności prasa polska w Galicyi otrzymuje wiadomości telegraficzne, zabarwione tendencją niemiecką, a w dodatku bardzo często nie mające dla nas żadnego znaczenia.

W nauce, sztuce, polityce, literaturze robią sobie w ten sposób Niemcy bezpłatną reklamę. A co do przeróżnych doniesień, dla nas obojętnych, to często musi czytelnik karmić się telegramami, wprost komieczniami. Co naprzykład może obchodzić Krakowianina, że pod Berlinem jakiś radca komercyjny wpadł z automobilem do rowa i potłukł się. A gdyby sobie nawet kark skrzył, to jeszcze nas podobny wypadek nic a nic nie obchodzi. Ale berlińska agencja telegraficzna dała tę wiadomość c. k. wiedeńskiemu Biuru korespondencyjnemu, które znowu częstuje nią zarówno dzienniki w Wiedniu, jak w Pradze, Krakowie i Lwowie.

O wiadomości z Królestwa Polskiego biuro korespondencyjne nie stara się. Szkoda kosztów, a zresztą o Warszawie dowiaduje się to biuro znowu za pośrednictwem Berlina. Jak sojusz, to sojusz we wszystkim. Berlin w myśleniu wyręcza Wiedeń, któremu narzuca swoje poglądy, a Wiedeń usiłuje to samo czynić wobec Krakowa i Lwowa, niestety nie bez skutku. Nowe dobrodziejstwo centralizmu. Nawet zmyślane wiadomości jako dowcipy na *prima aprilis* dostają się tą drogą do naszej prasy.

Swoją drogą polska prasa w Galicyi przyjmuje ten stan rzeczy z cierpliwością, która w innym razie byłaby rzeczywiście podziwienią godną. Biuro korespondencyjne daje telegramy, dziennik żywcem je drukuje i obie strony są widocznie zadowolone. Ale jest trzecia strona w tej sprawie, a mianowicie czytelnik, mający pewne prawo do żądania, ażeby go nie częstowano wiadomościami, dla niego obojętnymi, a co gorsza śmiertelnie nudnymi. Co więcej dziś jeszcze widać, że niektóre dzienniki galicyjskie dobrowolnie oddają się pod wpływ prasy wiedeńskiej, powtarzając bezkrytycznie jej sądy nie tylko z zakresu polityki, ale i literatury i sztuki. Zamiast się informować o sprawach angielskich za pomocą tamtejszych dzienników, a o sprawach francuskich za pomocą prasy francuskiej, niejedna redakcja polska uważa ten lub ów dziennik wiedeński za dostateczne uniwersalne źródło, z którego czerpie wiadomości o Chinach i Turcyi, o Włochach i Francyi, o prądach politycznych, naukowych, literackich, artystycznych. Niewesołe, ale prawdziwe.

Nie znęcajmy się już nad prasą. Zaglądajmy do kawiarni i przeglądajmy, a zwłaszcza przeliczmy pisma, znajdujące się w kawiarnianej czytelni. Znajdziesz czytelniku co prawda zazwyczaj wszystkie pisma polskie z Galicyi, ale Warszawę, stolicę Królestwa Polskiego, ba, całe Królestwo,

reprezentuje z reguły jeden jedyny *Kurier Warszawski*. Tak samo dzieje się z Poznaniem. Gazeta polska z Cieszyńska, albo z Bytomia, z Wilna albo Kijowa — to rzecz u nas nieznana zupełnie. Z obcej prasy posiada kawiarnia zwykle jeden dziennik paryski, czasem jakiś dziennik londyński, co zresztą wystarcza. Ale zato dla prasy niemieckiej, specjalnie dla wiedeńskiej, kawiarnie nasze stoją na oścież otworem. Dzienniki niemieckie znajdują się w kawiarniach naszych prawie w tej samej liczbie, co polskie. Gdybyśmy stąd mieli wysnuć wniosek co do narodowości mieszkańców Krakowa, to musielibyśmy przypuścić, że połowa naszej ludności jest niemiecką. A szczególną predylekcyę mają kawiarnie nasze do humorystycznych tudziez illustrowanych pism niemieckich.

Przeróżne humorystyczne piśmidła niemieckie, natrząsające się często z naszych uczuć narodowych, leżą na stolikach naszych kawiarni, jako dowody niedołęstwa i obojętności Polaków, gdyż tolerancją nazwać tego nie można.

Ile grosza z krzywdą dla prasy polskiej idzie w ten sposób do kieszeni Niemców, nietrudno obliczyć, równie jak nietrudno stwierdzić, jak ujemnie działa czytanie dzienników niemieckich na bezkrytycznych lubowników obcego słowa drukowanego. Taki czytelnik, codziennie prawie karmiąc się elukubracjami prasy niemieckiej, upatrującej wszystkie cnoty w narodzie niemieckim, sławiącej jego cywilizację, a zbyt często wprost bezczeszczając imię polskie — powoli przesiąka pruskim jadłem i staje się neliłościwym, a zjadliwym krytykiem swoich stosunków. Takim panu wydaje się, że niemiecki dziennik jest „oknem, otwartem na Europę“, polskie zaś pismo zaściankowem wydawnictwem. I wygląda przez to okno tak długo, aż wreszcie nabawi się daltonizmu narodowego. Staje się ślepym na barwy narodowe. To jest niemałym złem, które należałoby wreszcie usunąć. Przecież jesteśmy na własnych śmieciach.

Będziemy wreszcie mieć pogodę, czy nie? W chwili, a raczej w godzinie, gdy piszę niniejszą kronikę, niewesołym rozpamiętywaniom moim towarzyszy monotonne padanie deszczu. Dostaję gazetę wieczorną i szukam w niej prognozy centralnego zakładu meteorologicznego w Wiedniu. Prognoza dla Galicyi zachodniej brzmi dość łownie: „Pogodnie, mierne wiatry, temperatura wyższa, stan niezmieniony. Ogólny charakter pogody trwa dalej“. Prognoza ta, nieco podobna do wyroczni delickiej, nie wróży niestety dobrze o przyszłości. Bo jeżeli „ogólny charakter pogody trwa dalej“ — w takim razie będziemy mieć znowu deszcze dla... odmiany.

Na szczęście i zakłady meteorologiczne mylą się często. Może już wyczerpały się upusty niebieskie i zawita wreszcie upragniona pogoda. Podwójnie upragniona pogoda, zbliżają się bowiem podwójne święta. Niech tylko słońce nam dopisze, a cały Kraków urządzi secesję za mury miasta. Kronikarz weźmie udział w tej secesyi, którą *con amore* opisze, wyda w osobnej odbitce i sprzeda tyle egzemplarzy, iż kupi sobie realność na gruntach pofortyfikacyjnych. Co daj Boże! — to jest najpierw pogodę dla wszystkich, a potem realność dla kronikarza. Jestem altruistą.

h. j-e.

B. Gabryelska, Krzysztofory Kraków.
Wynajmuje i sprzedaje pierwszorzędných fabryk fortepiany, pianina, harmonie i pianole za gotówkę lub na spłaty nawet dwudziestomiesięczne bez zaliczki.

1-33

Otwartą została **pierwszorzędna KAWIARNIA J. BISANZA** w Krakowie, przy ulicy Dunajewskiego
I. I. porter.

